№ 31 WARSZAWA, DNIA 3 SIERPNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Józef Ignacy Kraszewski.

DOKOŃCZENIE

Nie porzucając pracy pisarskiej dla „Tygodnika petersb." Kraszewski w r. 1841 rozpoczyna wydawnictwo czasopisma naukowo-społecznego p. t. „Ateneum", zasilając je obficie własnemi artykułami naukowemi i bieżącemi, powieściami i t. p.



... ogromna, długa do pasa broda, osłaniała mu piersi.... (Stara Baśń, Kraszewskiego, wyd. dla młodzieży).

Pomimo jego wysiłków w celu rozbudzenia przez nie żywszego ruchu umysło-

wego, pismo to po jedenastu latach przestało wychodzić, ponieważ dotychczasowy jego nakładca, księgarz Glücksberg z Wilna, dalszego nakładu odmówił — oraz dla niedostatecznej liczby prenumeratorów.

Przez lat dziewięć pobytu w Gródku, Kraszewski pomimo borykania się z trudnościami gospodarczemi i przykrościami, wynikającemi z powodu jego społecznych przekonań, napisał kilkanaście powieści, oprócz tego dwa poważne dzieła: Historję Litwy (2 tomy) i Historję Wilna (4 tomy) oraz obszerną trylogję wierszem Anafielas.

W r. 1849 sprzedał Gródek, nabywając wioskę Hubin; lecz po kilku latach wydzierżawił ją i osiadł na stałe w Żytomierzu, tak dla wykształcenia dzieci, jak i dla łatwiejszych, niż na wsi, warunków pracy umysłowej. Jednak sprawy społeczne, w których odrazu przyjął żywy i czynny udział, mało mu na nią czasu zostawiały: był kolejno honorowym kuratorem szkół, dyrektorem teatru żytomierskiego i Tow. dobroczynności, prezesem klubu szlacheckiego i t. d. Jego humanitarne poglądy co do uwłaszczenia chłopów i dania im oświaty, oburzyły przeciw niemu wielu z bogatej szlachty—w mowie i druku zaczęto mu zarzucać niebezpieczne nowatorstwo i niepraktyczne marzycielstwo. Aby wyrwać się z tych stosunków, wybrał się Kraszewski w pierwszą swoją podróż za granicę, gdzie zwiedził Włochy, Francję i Niemcy. Po powrocie, poznał się z energicznym a uczciwym finansistą, Leopoldem Kronenbergiem, właścicielem „Gazety Codziennej", który mu zaproponował objęcie redakcji tego pisma. Kraszewski, będąc jednych z nim poglądów na podniesienie dobrobytu kraju przez oświatę, przemysł i uobywatelenie żydów, przyjął tę posadę i w r. 1860 przeniósł się do Warszawy. Tu się zabrał z zapałem do pracy, pomimo uszczypliwych słówek pod swoim adresem, zarzucających mu, iż się „Żydom sprzedał". Powoławszy na współpracowników pisma, nazwanego wkrótce Gazetą Polską, najzdolniejszych pisarzy, jak: Szajnocha, Klaczko, Lenartowicz, Bielawski, Chojecki, prowadził sam działy: krytyczny i beletrystyczny.

Nadszedł rok 1861. Wobec zaszłych wtedy wydarzeń pismo zajęło stanowisko umiarkowane, głosując za rozszerzeniem oświaty, pracą nad rozwojem moralnym i umysłowym. To odstręczyło od Kraszewskiego gorętsze umysły — lecz i margrabia Wielopolski z poglądami jego się nie zgadzał; na jego żądanie nasz autor musiał zrzec się redaktorstwa i wyjechać z Warszawy do Drezna, gdzie dopiero rozpoczął niestrudzoną, zdumiewającą swą twórczością pracę. Zaniechawszy dziennikarstwa, poświęca się całkowicie powieści, korespondencjom do pism, prawie wszystkich, jakie istniały. Wyliczenie dzieł jego, powstałych w tym tylko okresie, przechodzi ramy niniejszego artykułu: odbijają się w nich, jak w zwierciadle wszystkie wady, zalety i poglądy ówczesnego społeczeństwa.

Jego powieści historyczne z czasów saskich: „Hrabina Cosel", „Siedmioletnia wojna", „Starosta warszawski", „Skrypt Fleminga" i inne, są najdokładniejszem odbiciem epoki, poprzedzającej późniejsze nieszczęścia krajowe.

Uznając jego niespożyte zasługi, w roku 1879 uczczono uroczystym jubileuszowym obchodem w Krakowie 50-lecie jego pracy pisarskiej: Europa, Ameryka i Australja miały tu swoich przedstawicieli. Przeszło 11,000 przyjezdnych gościł stary Kraków w murach swoich a cesarz austryjacki przysłał Kraszewskiemu wysoki order — krzyż komandorski, udzielany za największe zasługi.

Zdrowie sędziwego pisarza zaczęło go opuszczać: cierpiał na astmę, katar żołądka

oraz bezsenność, mimo to tworzył prawie gorączkowo, gdyż wydawał około 10 powieści rocznie.

Takiego to człowieka zadenuncjował niemiec Adler, oskarżając go, iż dostarczał rządowi francuskiemu tajnych wiadomości, dotyczących armji niemieckiej. Gdy przejeżdżał przez Berlin, aresztowano go i osadzono w więzieniu, skąd po złożeniu wysokiej kaucji pozwolono mu na parę miesięcy wrócić do Drezna. Przebył jednak w więzieniu prawie dwa miesiące, podczas których napisał dwutomową powieść „Psiawiara" i rozpoczął drugą „Od kolebki do mogiły". W r. 1884 sądzono jego sprawę w Lipsku i pomimo, że mu winy nie udowodniono, skazano go, wskutek nacisku wywartego na sędziów przez kanclerza Bismarka, na 3 i pół roku twierdzy. Odsiadując tę karę w Magdeburgu i tam pracował niestrudzenie, napisawszy trzy powieści. Więzienie jednak zgubnie oddziaływało na starca: po ataku apoplektycznym na płuca, rodzina i osoby wpływowe zdołały po półtorarocznym pobycie wyrobić mu za kaucją 20.000 marek urlop półroczny. Kraszewski, schorzały i zdenerwowany, pojechał do San Remo, skąd trzęsienie ziemi wygnało go do Szwajcarji. Nabawiwszy się w drodze zapalenia płuc,

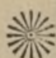


.... Mila, drżąc i bojaźliwie oglądając się dokoła, czekała.... (Stara Baśń, Kraszewskiego, wyd. dla młodzieży).

zatrzymał się w Genewie, gdzie po kilku dniach zakończył życie d. 19 Marca 1887 r. Zwłoki tego tytana literatury, któremu w liczbie dzieł nie dorównał żaden z pisarzy całego świata, spoczywają w grobie najzasłużeńszych synów naszego kraju, w Krakowie na Skałce.



Gustaw le Rouge.

 NIEWIDZIALNI. 

Ciąg dalszy.

«Moja» wieża również była zewsząd otoczoną morzem, lecz zmęczony mój umysł nie mógł rozstrzygnąć pytania: w jaki sposób się tu dostałem?

Poszedłem w przeciwną stronę platformy: i tam były takie same wieże, dalej fjoletowe wody morza, a na krańcach widnokręgu, biaława mgła oznaczała bliskość lądu. Boski spokój, rozlany w tym krajobrazie, działał na mnie kojąco; gdyby nie ból we wnętrznościach będący skutkiem głodu, możebym nie szukał sposobu ucieczki.

Najgłębsza cisza tu panowała; nie widziałem ani słyszałem żadnego znaku życia i zapytywałem siebie, czy to jest sen, czy rzeczywistość?

Z westchnieniem żalu oderwałem wzrok od cudnego obrazu tajemniczej okolicy, aby rozpocząć nową walkę o życie dla wiedzy.

Okrążyłem jeszcze raz ową platformę, gdyż sama logika wskazywała, że musi istnieć jakaś droga do niższych pięter: schody, czy winda, czy choćby jakaś drabina!

Co do tego, myliłem się najwidoczniej! Gładka i ścisła powierzchnia platformy zdawała się być jednolicie odlaną: jeśli istniało jakie tajemne zejście, krawędzie zamykających je płyt przystawały do siebie z dokładnością, która całkowicie myliła wzrok. Byłem tem nieco stropiony, lecz nie straciłem odwagi; czułem, że muszę działać natychmiast, dopóki głód i zmęczenie nie odbiorą mi sił do pracy nad sposobami wydobycia się z wieży.

Gdybym tylko mógł dosięgnąć niższego piętra, to przecież te ciemne nisze muszą mieć jakieś wyjście — byle tylko się tam dostać!

Nakoniec przyszła mi pewna myśl, którą postanowiłem wykonać. Wyciągnąłem z metalowej obsady ruchomą, szklaną ścianę, a rzuciwszy ją na platformę, skruszyłem i odjąłem metalową zasuwę. Miałem więc już kawałek kruszcu, około stopy długości, który mi posłużył do wyżłobienia wklęsłości tak głębokiej, że mogłem w tym dołku umocować ów kawałek metalu, zasypawszy go dookoła okruchami szkła. Później oddarłem ze swego ubrania, zeszytego artystycznie ze skór ptasich, mocnych a miękkich,

dwa pasy, które skręciłem razem. Utworzył się z tego sznur dwumetrowy, dość mocny, którego siłę wypróbowałem, ciągnąc go obiema rękami. Przywiązałem go mocno do owej listwy metalowej i opuściłem się po nim na niższe piętro.

Przyszło mi to dość łatwo, ponieważ byłem obeznany z gimnastyką i ćwiczeniami fizycznemi — wyznaję jednak, że gdym się uczuł zawieszonym przez tę parę chwil w próżni nad przepaścią, musiałem zamknąć oczy, aby nie dostać zawrotu głowy.

Gdy tylko poczułem pod nogami kapitel kolumny niższego piętra, obawa moja minęła i po chwili znalazłem się zdrów i cały, między dwiema kolumnami świetnie szafirowego koloru. Odetchnąłem głęboko, myśląc, że nie chciałbym już powtarzać tej napowietrznej podróży.

Z prawej i lewej strony, miałem przy sobie dwie czary, podobnie jak w mojem więzieniu, pełne krwi. Nie zważałem jednak na tę ponurą przepowiednię, gdyż napełniło mię radością odkrycie, iż każda z ciemnych nisz, była, jak się tego domyślałem, wylotem schodów, które mieszcząc się w ścianach wieży, schodziły spiralnie na dół.

Zapuściłem się więc odważnie w to mroczne przejście, lecz nie było tam całkiem ciemno, gdyż wpół-przejrzyste ściany przepuszczały niewyraźne, szarawe światło, w którem kolumny zarysowywały się słabo i lekko. Schodziłem po tych schodach, tonących w półcieniu, a w myśli powtarzałem słowa Baudelaire'a:

«Potępieni po schodach ciemnych zstępowali
W otchłań, gdzie nigdy światło żadne się nie pali...»

Ciekawość moja tą szczególną budowlą była jednak tak silnie podniecona, że nie chciałem myśleć ani o zmęczeniu, ani o głodzie, który mi dokuczał.

Doszedłem nakoniec do miejsca, w którem łączyło się wiele galerji, lecz nieskończone schody szły wciąż niżej i niżej. Musiały się zapewne kończyć w jakiejś przepaści, której głębokości nie umiałbym nawet określić. Pomimo więc najżywszej chęci wyświetlenia tajemnicy wieży, musiałem się zatrzymać, gdyż reszta schodów pogrążoną była w nieprzejrzanej ciemności.

Jeśli mam prawdę wyznać, to obawiałem się, że te schody djabelskie nigdy się nie skończą i będę wiecznie po nich schodził, jak ci potępieńcy poety.

Natomiast galerje idące poziomo, pociągnęły mię tem więcej, że w każdej z nich, widać było w dali światło łagodne i przyćmione, jak gdyby odblask dalekiego ognia. Było ich jednak tyle, że nie wiedziałem którą wybrać, gdyż było łatwem do przewidzenia, że się zabłąkam w tym labiryncie.

Po chwili namysłu zdałem się na los szczęścia i wszedłem w pierwszą lepszą galerję. Szła ona w dół dość pochyło, lecz nie uszedłem dwudziestu kroków, kiedy się znalazłem przed drzwiami ze szkła, wpuszczonemi w metalowe listwy, tym samym sposobem jak to miało miejsce w mojej klatce. Otworzyłem je bez trudu a wszedłszy przez nie, ujrzałem się w wysokiej sali — i oniemiałem z podziwu!

Przez niezmiernej wielkości szyby kryształowe, bajecznie przejrzyste, które przegradzały kolumny z czerwonego kruszcu, ujrzałem rozległy krajobraz podmorski. Gaje białych i czerwonych korali naprzemian z łąkami o cudownej zieloności, zarosłe delikatnemi trawami, między któremi różne rośliny, jak algi, oraz inne, nieznane mi dotąd, roztaczały przepych różnych kolorów. Olśniewające ich kwiaty jaśniały wśród łodyg i liści, przypominających bujną roślinność Afryki środkowej. Na niektórych krzakach widniały owoce, podobne nieco do ziemskich bananów i ananasów.. Czegoż tam nie było! Kwiaty, wielkie jak Victoria Regia której korona ma przeszło metr średnicy; ljany niezrównanej lekkości, rzucały tu i owdzie swe purpurowe łodygi; gdzieindziej, las ol-

brzymich varechów rozwijał swe pływające łodygi, drżące za każdem poruszeniem fal.

Lecz najwięcej mię zdumiewał w tym cudnym krajobrazie porządek, w jakim rosły te wszystkie rośliny, a który nie mógł być dziełem przypadku. Szpalery i aleje zakreślone były z geometryczną dokładnością: niektóre krzaki o szafirowych jagodach, wyglądały, jak gdyby je świeżo ostrzygły nożyce ogrodnika, a ścieżki szerokie, pokryte różowym piaskiem, były najstaranniej utrzymane.

(D. c. n.)

(Tłom. z fran. *K. W.*).

BOLESŁAW PRUS

SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

Na pozór był on sam, właściwie jednak było ich dwóch: to jest on i welocyped, który stał pod piecem. Ile razy chciał Jaś skupić uwagę nad książką, tyle razy przeszkadzał mu niepoczciwy jego towarzysz. Zdawało się Jasiowi, że welocyped to rusza kółkiem, to pochyla się, jak pijany, to znowu ma taką minę, jakby się oglądał i dawał znaki. Gdy Jaś położył książkę, welocyped stał spokojnie jak trusia, lecz gdy się uczył, ten znowu rozpoczynał figle, niekiedy bardzo pocieszne. Widocznie kusił chłopca.

Ponieważ pantominy te zniecierpliwiły Jasia, zbliżył się więc do sprytnej maszynki i począł ją oglądać. Potem wsiadł na nią i... ostrożnie przejechał po pokoju.

W chwili, gdy jeździec i koń zawrócili się z powrotem do pieca, skrzypnęły drzwi, i do pokoju wpadli obaj chłopcy.

— Czy widzisz?... — krzyknął do brata rozgniewany Edzio: — On jeździ, zamiast się uczyć!...

— Złaź zaraz, ty ośle...—zawołał Tadzio i, porwawszy Jasia za ramiona, gwałtownie pochylił go w tył.

Szarpnięcie było tak bolesne, że Jasiowi świeczki stanęły w oczach. Broniąc się, machnął tak nieszczęśliwie ręką, że uderzył Tadzia w twarz.

Rozpoczęła się krótka, lecz gwałtowna walka, w ciągu której Jasiowi krew popłynęła z nosa, a obaj chłopcy mieli popodbijane oczy. Na odgłos bitwy wpadła pani Karolowa, przed którą Edzio i Tadzio usprawiedliwili się bardzo prędko, oskarżając Jasia, że ich zbił pięściami i powydzierał im włosy z głowy.

Pani Karolowa znalazła się przy tej sposobności jak lwica w obronie lwiątek. Nozdrza się jej rozdęły, oczy zaszły łzami... Nie pytając o powód kłótni, ani patrząc na nos Jasia, krzyknęła drżącym z gniewu głosem:

— Precz mi stąd!... nie godzien jesteś bawić się z memi dziećmi, niewdzięczniku!...

Wzburzony Jaś pobiegł do swego pokoiku i upadł tam na łóżko. Niezadługo usłyszał nowy hałas: to synowie i matka oskarżali go przed panem Karolem. Biedny chłopiec był już przygotowany na plagi; szczęściem, wkrótce wszystko ucichło.

Upłynęła godzina jedna i druga. Gniew Jasia ochłonął, lecz za to wrócił niepokój.

— Co oni myślą robić ze mną?... — szeptał przerażony.

Nadeszła pora obiadowa, i milczący lokaj przyniósł Jasiowi do pokoju jedzenie; lecz chłopiec niczego nie dotknął, myśląc ciągle: co z nim będzie?...

Po upływie dwudziestu czterech godzin, służący wezwał Jasia do gabinetu pana. Sierota zastał pana Karola, jego żonę, obu synów, a na biurku mały model blaszanego śmietnika, nad którym obecnie pracował filantrop.

— Jasiu!—zaczął pan Karol bez żadnej oznaki gniewu — przyjąłem cię do domu, w nadziei, że potrafisz być wdzięcznym, a przynajmniej znośnym. Ty jednak byłeś skrytym, upartym, leniwym, nie okazywałeś nam żadnego przywiązania, a w dodatku, wczoraj skrzywdziłeś moich synów. Ponieważ w społeczeństwie złe postępki nie mogą być przepuszczane bezkarnie i ponieważ sprawiedliwość wymaga przedewszystkiem usunięcia przyczyn złego, jestem więc zmuszony oddalić cię z mego domu. Pójdziesz do rzemiosła!...

Jaś stał nieporuszony; pan Karol mówił dalej.

— A teraz, kiedy sprawiedliwość już wymierzona, my przebaczamy ci wszystko złe, któreś nam wyrządził... Tadziu, podaj rękę Jasiowi!

— Ojcze! — odezwał się w tej chwili Edzio:—mój brat nie może podawać ręki temu, który go uderzył w twarz!...

Na te słowa, myślące oblicze pana Karola rozjaśniło się. Rzekł więc:

— Moje dzieci! Jakkolwiek zawziętość jest wadą, cieszę się jednak, że umiecie szanować swoją godność...

I powiedziawszy to, znakomity filantrop spojrzał naprzód na swoich synów, potem na model śmietnika, a wreszcie pocałował żonę w rękę i szepnął jej do ucha:

— Jest to jeden z piękniejszych dni w mojem życiu!...

W parę godzin potem wezwano Jasia powtórnie do gabinetu. Sierota zobaczył pana Karola na fotelu, a przy drzwiach jakiegoś człeczynę z czerwonym nosem.

— Jasiu, — rzekł pan Karol — oto jest twój nowy opiekun, który cię dziś weźmie do siebie. Upakuj rzeczy.

Gdy Jaś wrócił do pokoju, nieznajomy udał się z nim i biorąc poufale chłopca za klapę surducika, zapytał:

— Ten surdut to chyba nie w Warszawie robiony?...

— W Warszawie, panie!...— odparł Jaś bojaźliwie.

— Jak się pouczysz u mnie, mój mały, ze sześć lat, to będziesz lepsze robił!... — mruknął nieznajomy opiekun, który był krawcem.

Pożegnanie sieroty z panem Karolem i jego żoną było oziębłe. Gdy Jaś wyszedł już na schody, wybiegła za nim stara kucharka i wsuwając mu w kieszeń kilka dziesiątek, szepnęła:

— Bywaj zdrów, moje dziecko!... Może się ludzie lepiej na tobie poznają.

Jaś, który nigdy nie rozmawiał z tą kobietą, spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak! tak! — mówiła dalej. — Dobre z ciebie dziecko i zdatne, tylko zwyczajnie sierota!..

Jaś rozpłakał się i pocałował ją w rękę. Z ust tej kobiety pierwszy raz dopiero usłyszał serdeczne słowo w domu grzecznych, moralnych i miłosiernych marjonetek.

(Pan Karol oddał Jasia do krawca Kalasantego Darskiego, gdzie chłopca używano do posyłek i bawienia dzieci. Jaś zniechęcił do siebie całe otoczenie, ponieważ był inny, niż wszyscy; znalazł tylko przyjaciela w osobie czeladnika, Panewki. Po wielu ciężkich chwilach, posądzony niesłusznie o kradzież, Jaś uciekł z domu majstra).

6. Dzieje listu.

Nieopatrzony marką list Jasia dość długo wisiał w pocztowej skrzynce, choć był bardzo a bardzo pilny. Przechodziło tam-

tędy mnóstwo dam, które bawią się tylko dla otarcia łez cierpiącej ludzkości, i z których każda jest tak świątobliwa, że po śmierci wprost z karawanu pierwszej klasy będzie wzięta do własnego pałacu w królestwie niebieskiem. Żadna z nich jednak nie raczyła spojrzeć na biedny liścik, który w niebogłosy zdawał się krzyczeć, ażeby go wysłano do Wólki! Przechodziły panny piękne jak jagody, a takie dobre, niewinne, miłosierne a tak wogóle doskonałe, że zjawienie się ich robiło dystrakcję wygłodzonym kancelistom pocztowym, że na ich widok, pocztyljoni i bryftrygierzy żegnali się jak przed cudownemi obrazami... Lecz z nich żadna nie zainteresowała się liścikiem.

Przechodzili tamtędy panowie, starzy i młodzi, w futrach i paltotach, w płytkich i głębokich kaloszach. Ten miał złote okulary, inny laskę z kością słoniową, ów częstował znajomych kilkuzłotowemi cygarami, tamten posiadał kamienicę, a jeszcze inny najlepsze serce w świecie. Wielu z nich było członkami Towarzystwa Dobroczynności, albo Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Wielu troszczyło się o paralityków. Ale list Jasia, od dawna leżący w skrzynce, żadnemu nie przyszedł na myśl.

Nareszcie i on zwrócił na siebie uwagę.

Przez dziedziniec pocztowy przesuwał się codziennie jegomość chudy i łysy, w długim granatowym płaszczu. Zły to był i chytry starzec!... Ilu on panów, co powozami jeździli, wykierował na dziady; ilu kupców wsadził na Leszno; ile zgubił wdów i sierot; ilu młodzieńcom olbrzymiemi procentami zwichnął karjery, — o tem dopiero dowiemy się w dzień sądu ostatecznego.

Ponieważ staruszek przez całe życie pisywał listy na koszt, z obawy więc: czy i teraz do którego nie zapomniał przylepić marki, i czy mu go nie odrzuciła poczta,—często zaglądał do szafki. I otóż, w czasie jednych z takich odwiedzin, przeczytał adres:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma.,. w Wólce, żeby prędko doszedł“.

Zobaczywszy to, stary aż się zatrząsł z gniewu i uderzając laską w kamienie, mruknął:

— A to dopiero oślisko jakiś!... Chce, żeby mu list prędko doszedł, a marki nie przylepia...

Z temi słowy szybko pobiegł do bramy, lecz tu nagle się zatrzymał i znowu mruknął:

— Dobrze mu tak, niech się pilnuje!...

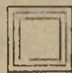
Ale na środku ulicy Nowo-Senatorskiej znowu stanął i, jakby kłócąc się z kimś, mówił gniewnie:

— A to co nowego?... Ja... ja mam marki kupować dla jakichś tam hołyszów, urwipołciów?... Zjesz djabła, czy ci się uda!

Daremnie się jednak wykręcał, daremnie klął i usiłował biedz naprzód! Schwyciła go za kark potężna prawica Boża i już z Placu Teatralnego zawróciła na pocztę. Ale lichwiarz jeszcze nie dawał za wygraną i począł się tłómaczyć płaczliwym głosem:

— Pewnie już niema urzędników na poczcie... Oniby też czekali dla głupiego listu! A czy licho nadało z tą kanalją?.. A czy nie mógłby tego samego zrobić jaki bogaty człowiek?...

D. c. n.



STARY DĄB. (Z naszych krajobrazów).



HERKULES.

DOKOŃCZENIE

Ojciec Dejaniry nie chciał sobie zrazić żadnego ze starających się, zupełnie bowiem słusznie obawiał się ich gniewu.

— Zaprawdę, obydwaj mi zarówno mili jesteście!

— Ale obydwaj nie możemy pojąć córki twej za żonę!

— Walka niech pomiędzy nami rozstrzyga!

Odbyła się więc walka straszna i niezwykła pomiędzy zaciętymi przeciwnikami. Pokonywany Acheloos zmieniał postać, aż wreszcie Herkules powalił go na ziemię i odłamał mu jeden z rogów.

Teraz bóg przyznał się do przegranej, a Herkules jako zwycięzca, otrzymał rękę królewny.

Ale bożek, jakkolwiek ustąpił, postanowił się zemścić i namówił Nessosa i Centaura, aby porwali Dejanirę.

Kiedy młodzi małżonkowie opuścili miasto Kalidon i przybyli nad brzeg rzeki, Herkules na chwilę się odwrócił a Nessos pochwycił Dejanirę i zaczął z nią uciekać.

Dejanira krzyknęła.

Herkules naciągnął łuk i zranił Nessosa posłaną strzałą.

Zgęstniała krew poczęła się sączyć z głębokiej rany.

Zanim Herkules się zbliżył, Nessos namówił Dejanirę, aby nabrała krwi jego cieknącej z rany, do jakiegoś naczynia.

— Krew ta przyda się. Jeżeliby kiedy Herkules przestawał cię kochać, natrzej tą krwią jego szaty, a pokocha cię znowu i jeszcze goręcej aniżeli poprzednio.

20. Zemsta Hery.

Od tego zdarzenia upłynęło lat wiele.

Jak dawniej tak i teraz śpieszył bohater z przygody do przygody i coraz to nowemi wawrzynami uwieńczany powracał do ogniska domowego, do żony i dzieci.

Pewnego razu wybrał się na wyprawę przeciw królowi miasta Ojchalji, Eurytosowi.

Pobiwszy Eurytosa na głowę, sam ruszył dalej, a Jolę, córkę Eurytosa z innemi niewolnicami odesłał do domu.

Z przybycia niewolnic skorzystała Hera i między niemi wsunęła się do dworu.

Układna, grzeczna i miła wkradła się wkrótce w łaski Dejaniry i ta uważać ją poczęła raczej za przyjaciółkę, aniżeli za niewolnicę.

Pewnego razu gdy pomagała Dejanirze przy ubieraniu, rzuciła się nagle przed nią na kolana.

— Nie, dłużej już, dobra moja pani, oszukiwać ani zdradzać cię nie potrafię!

— Co się stało?

— Tajemnicę wielką noszę w mem sercu, ale dłużej już nie mogę jej ukrywać. Herkules, mąż twój, przestał cię kochać i po powrocie zamierza oddalić ciebie, a pojąć za żonę Jolę.

Dejanira uśmiechnęła się.

— Wdzięczna ci jestem, że zawiadomiłaś mnie o tem. Mam ja sposób na Herkulesa i jestem pewna, że nietylko mnie nie porzuci, ale nawet pilniej kochać zacznie.

To mówiąc, wydobyła Dejanira prześliczną suknię i natarła ją krwią Nessosa.

— Przywołaj mi Lichasa.

Wezwany stawił się w tej chwili.

— Udasz się do mego męża, przebywającego na wyspie Eubei, oddasz mu tę suknię i powiesz, że wierna i kochająca swego męża i pana Dejanira przysyła mu własnoręcznie utkaną suknię i niecierpliwie oczekuje jego powrotu!

Gdy Lichas przybył z podarunkiem, Herkules gotował się właśnie do złożenia Zeusowi dziękczynnej ofiary po świeżo odniesionem zwycięstwie.

Zobaczywszy wspaniałą suknię, ucieszył się nią niezmiernie i zaraz przywdział ją na siebie.

Zaledwo jednak suknia dotknęła się ciała, straszliwy ogień zaczął palić jego członki.

Daremnie usiłował zedrzeć suknię, wpijała się ona coraz mocniej w ciało i palący żar sięgał coraz głębiej do wnętrza.

Krzycząc i wyjąc z bólu oszalały porwał Lichasa, który mu suknię przyniósł i zdruzgotał go o skałę, którą od tego czasu nazwano skałą Lichasową.

Wieść o strasznych mękach Herkulesa doszła wnet do Dejaniry. Z rozpaczy, że mimowoli stała się przyczyną tak strasznych cierpień, przebiła się mieczem.

A Herkules uprosił swego najstarszego syna Hyllosa, że ten zaprowadził go na górę Ojtę i ułożył stos drzewa.

Gdy jednak ojciec wstąpił na stos i zażądał, aby syn stos ten podpalił, nie miał Hyllos odwagi tego uczynić. Odmówili też tej przysługi cierpiącemu Herkulesowi wszyscy obecni przyjaciele, a nawet mimo zaklęć i obietnic żaden z niewolników nie chciał zapalonej głowni przyłożyć do stosu.

Wtem nadszedł król tessalski, Tojas i widząc jak bardzo się niezwyciężony dotąd bohater męczy, podpalił stos, a za to otrzymał w darze od Herkulesa łuk i zatrute strzały.

Zaledwo stos zajął się, spuściły się z Olimpu chmury i zakryły go zupełnie.

Równocześnie zerwała się szalona burza z błyskawicami i piorunami.

Po przejściu burzy świadkowie ostatnich chwil Herkulesa pragnęli zebrać jego szczątki i pochować je wspaniale, jednakże nic nie znaleźli.

Zdumieni cudem, uczcili zaraz nowego półboga ofiarą.

Ulubieniec Zeusa przyjęty został rzeczywiście pomiędzy bogów, na co zasłużył życiem pełnem trudów i poświęceń dla ludzkości. Atene wprowadziła go na zgromadzenie bogów olimpijskich, a wtedy Hera, nieprzebłagana jego przeciwniczka, pojednała się z nim uroczyście i ulubioną swą córkę, boginię Hebę, oddała mu za małżonkę.

KONIEC.





REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa. Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

I wskazał ręką na ciągnące się przed nimi wzgórze, z czerniejącą po środku jamą...

Profesor badawczem okiem obrzuciwszy wzgórze, rzekł:

— Ma ono wszelkie cechy cmentarzyska przedchrześcijańskiego, tak zwanego żalnika. Poszukiwania w niem należy wogóle prowadzić nadzwyczaj ostrożnie, ażeby nie uszkodzić znajdującej się napewno większej ilości urn i zabytków... ot, naprzykład..

I nachyliwszy się, wyjął z grudy ziemi niewielki, błyszczący przedmiot, mający kształt pierścienia...

— Proszę, oto jest pierścień bronzowy... Takich zabytków musi tam być sporo... Z rozmiarów widzę, że żalnik ten musi być duży, i że znaleźć w nim można wiele rzeczy ciekawych.

— Profesorze — zawołał dziedzic, który przedstawił się jako Stefan Tarczyc—proszę bardzo, pozostań pan tu u mnie na dni parę.. Pod twoim kierunkiem dokonywane będą te poszukiwania... Pan niemi pokierujesz... a ręczę, że skarby tu ukryte, w całości ujrzą światło dzienne...

Zawahał się profesor...

Przerwa parodniowa w podróży nie była mu na rękę—lecz zamiłowanie wiedzy przemogło i podając rękę p. Tarczycowi, rzekł:

— Dobrze, przystaję na propozycję pana, ale pod warunkiem, że część znalezionych rzeczy, wzbogaci nasze muzea...

— Ależ o tem nawet mowy niema, — zawołał pan Tarczyc—wszystko, co tylko profesor uzna za cenne dla nauki i wiedzy, przeznaczone przezemnie zostaje do naszych uczelni...

Z decyzji tej profesora niezmiernie ucieszona była pani Marcinowa... Uśmiechał się jej widok parodniowego odpoczynku, gdyż jazda na bryczce dała się już jej porządnie we znaki.

Zmierzch już zapadł, robotnicy zebrali więc łopaty i skierowali się do domów, a pan Tarczyc z profesorem i Pawełkiem zajęli miejsca w wygodnym powoziku, odesławszy uprzednio do dworu bryczkę z panią Marcinową i Tomaszem.

— Wzgórze to, — mówił przez drogę pan Tarczyc—z dawien dawna znane jest tu, przyczem krążyło o niem mnóstwo legend.. Lud zwał je zwykle albo grodziskiem, albo okopami szwedzkiemi, utrzymując, że tam pogrzebani są wojownicy, polegli w czasie wojen szwedzkich... Obawiali się przytem chodzić tamtędy w nocy, mówiąc, że ukazują się tam duchy i strachy..

I mnie interesowało bardzo to wzgórze, spodziewałem się znaleźć w niem jakieś pamiątki, zabytki, lecz nigdy nie miałem

czasu, by je w czyn wprowadzić; dopiero dziś dziwnym trafem zabrałem się do tego i niebo akurat zesłało mi profesora, ażeby pouczył mnie i rozjaśnił wiele mroków...

— Lud wogóle u nas,— odrzekł mu na to profesor—nazywa dawne cmentarze przedchrześcijańskie, czyli tak zwane żalniki, okopami szwedzkiemi lub grodziskami, i otacza je całem kołem legend... W nieświadomości swej niszczy znajdowane tam skarby, tłukąc urny, w mniemaniu, że zawierają one monety. W każdym razie, odnalezienie żalnika stanowi dla archeologa skarb prawdziwy, gdyż nietylko w nim, ale i w pobliżu znaleźć może liczne ślady życia przedhistorycznego naszych przodków... Żalniki u nas zwykle bywają kształtu prostokątnego, otoczone wysokiemi okopami, w miejscu zacisznem, mniej dostępnem, czasem pomiędzy wodami lub w ostępach dawnych puszcz i borów, albo na wzgórzach. Rozkopując żalniki, napotykamy zwykle urny gliniane z popiołami z ciał spalonych, szczątki kości, a przy nich rozmaite ozdoby metalowe, służące dawniej do stroju niewieściego lub też części starożytnego uzbrojenia naszych przodków..

— Ten żalnik,—kończył profesor, zwracając się do pana Tarczyca—o ile z kształtu jego wywnioskować mogę, może dać nam obfitą zdobycz naukową... Trzeba tylko będzie bardzo ostrożnie prowadzić dalsze poszukiwania...

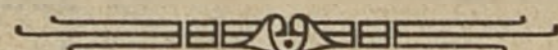
Tak rozmawiając, zajechali przed dwór pana Tarczyca, staropańską siedzibę, urządzoną z wykwintem i wygodą...

Przed gankiem opadła ich cała sfora psów różnego gatunku, które pan Tarczyc powstrzymał głosem i rozkazującym gestem ręki.

Weszli do sali jadalnej, gdzie już oczekiwała na nich pani Tarczycowa. młoda jeszcze kobieta, uprzedzona o przybyciu gości...

Po przedstawieniu ich, zasiedli do wieczerzy, gawędząc o różnych rzeczach, przyczem profesor dzierżył prym w rozmowie..

D. c. n.



KRONICZKA.

Runięcie pomostu w Binz. W uczęszczanych także przez rodaków naszych kąpielach morskich Binz, na wyspie Rugji, runął dnia 28-go Lipca — pod ciężarem tłumu, daleko w morze sięgający pomost przystani, pociągając za sobą śmierć kilkunastu gości kąpielowych.

O przebiegu strasznej tej katastrofy, podają pisma berlińskie szczegóły następujące:

O godz. 6-ej wieczorem tłum publiczności oczekiwał na przystani przybycia parowca osobowego „Kronprinz Wilhelm", płynącego z Sassnitz do Greifswaldu. Nareszcie ukazał się parowiec oczekiwany. Wówczas tłum, stojący na przystani, a było śród niego wielu mieszkańców Greifswaldu, pragnących powrócić do domu po niedzieli, spędzonej w Binz, posunął się ku końcowi pomostu utworzywszy tam zwartą masę, cisnącą się do parowca. Nagle załamały się z trzaskiem słupy, podtrzymujące belkowanie, pomost przechylił się na przestrzeni mniej więcej 10 metrów i około stu osób wpadło do morza.

Z krzykiem okropnym reszta publiczności rzuciła się do ucieczki, sądząc, że cały pomost ulegnie zawaleniu. Utworzyła się przez to luka, w którą wpadli, na szczęście, licznie zebrani śród tłumu oficerowie i marynarze okrętów wojennych, stojących w pobliżu Binzu na kotwicy i rzuciwszy się bez namysłu do wody, zaczęli ratować tonących. Również z pokładu parowca „Kronprinz Wilhelm", stojącego już u przystani, rzucono do morza wszystkie przyrządy ratunkowe, drabiny i spuszczono łodzie na wodę.

Dzięki tej to szybkiej akcji ratunkowej, zdołano uratować kilkadziesiąt osób, z których wiele straciło już przytomność i byłoby napewno padło ofiarą katastrofy.

Tymczasem z pokładów okrętów wojennych dostrzeżono katastrofę, natychmiast więc odpłynęły stamtąd łodzie z lekarzami i środkami opatrunkowemi. Osoby wydobyte z morza, układano na pomoście, a lekarze zajęli się przywracaniem ich do życia. Niestety, pięciu osób nie zdołano już ocucić. Straciły życie, uderzone, przy spadaniu, belkami i deskami pomostu. Osoby ocucone przebrano w ubrania suche, dostarczone przez marynarzy i gości kąpielowych i odwieziono do domów, o ile stan ich na to pozwalał.

Nie zaniechano przytem dalszych poszukiwań w morzu śród odłamków desek i belek i wydobyto w ciągu nocy jeszcze 9 zwłok osób utopionych.

Jak twierdzi zarząd kąpielowy, więcej zwłok nie znaleziono. Pomimo to, poszukiwania trwają w dalszym ciągu.

Śledztwo tymczasowe miało wykazać, że przyczyną katastrofy było załamanie się belki, widocznie nadgniłej, którą wstawiono, na miejsce starej, zaledwie przed kilku tygodniami do pomostu.

Ofiarami katastrofy, jak widać ze spisu, podanego przez dzienniki berlińskie, padli wyłącznie niemcy, mieszkańcy Sassnitzu, Greifswaldu i Berlina. Nazwisk polskich brak zupełnie.

„O własnych siłach“.

LATO.

Złociste lato zajaśniało,
Niby to słońce jasne
Co promieniami świat oblało,
Wydając wdzięki własne.

Świat się ożywił — z cieniów nocy,
Wypłynął bezgraniczny,
I zabrzmiał wkoło, krzyk radosny: —
— Już lato — czas prześliczny!

I szumią lasy. Tam w dolinie,
Mijając góry, doły,
Srebrzystą wstęgą rzeka płynie;
Mętna i czysta napoły.

Złociste lato! Pola, niwy;
Wszystko się w słońcu mieni,
Że patrzeć tylko na te dziwy,
Wśród barwnej łąk zieleni.

Jak okiem sięgnąć — liczne kwiecie
Aromat wkoło sieje;
Dziwna harmonja w całym świecie,
Już zdala zewsząd wieje.

Przyroda cała gra echami;
Odgłosy jakieś płyną,
A życie biegnie hen falami,
Godzina za godziną.

I szumi ciemny bór sosnowy
Jakieś nieznane dźwięki —
Dochodzą zdala twojej głowy
Dawnej przeszłości jęki —

A słowik w gąszczu już od rana
Czar piosnki swej wygłasza;
W zachwycie milczy zasłuchana —
Ojczysta ziemia nasza.

Zyg. Mul.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez «Nemo».

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko naszego znakomitego przyrodnika.

Sylaby: lid, dam, wjusz, lon, ron, gi, ton, sa, ra, wa, dor, rja, a, york, niel, no, rjusz, o, kon, in, am, szyng, des, kas, da, ster, ba, hu, ta, sy, wa, ra, da, ok, ka.

Znaczenie wyrazów:

1. Przyrząd do latania.
2. Cesarz rzymski.
3. Jezioro w Ameryce.
4. Monarcha perski.
5. Miasto w Holandji.
6. Generał japoński.
7. Gatunek jelenia.
8. Miasto w Ameryce.
9. Gatunek papugi.
10. Miasto w Ameryce.
11. Miasto portowe w Europie.
12. Stolica Stanów Zjednoczonych.
13. Kraina w Azji.
14. Ptak
15. Wysłużony żołnierz.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Zdzisława W.

Z danych sylab ułożyć 6 wyrazów sześcioliterowych, tak, aby litery, oznaczone liczbami 1, 3, 5, 7, 9, 11 — utworzyły imię sławnego rycerza francuskiego z czasów Karola Wielkiego, a litery, oznaczone liczbami 2, 4, 6, 8, 10, 12 — nazwisko sławnego rycerza francuskiego z czasów Franciszka I.

Sylaby: kord, dad, ko, ko, ry, la, bag, da, dry, re, [redacted], na, no, ba, ny, ra, a.

1	+	+	+	+	12
+	3	+	+	10	+
+	+	5	8	+	+
+	+	6	7	+	+
+	4	+	+	9	+
2	+	+	+	+	11

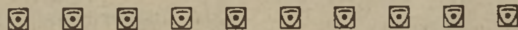
Znaczenie wyrazów:

1. Inaczej pierwszeństwo.
2. Grube gałęzie.
3. Część nogi.
4. Boginka leśna.
5. Zwierzęta domowe.
6. Miasto w Mezopotamji.

SZARADA

ułożona przez Jadzię B.

Pierwsze będzie, gdy w garnuszku
Woda się gotuje:
Drugie ludzie mówią wtedy,
Gdy ktoś hałasuje,
A gdy *trzecie* me w literze
Znajdziesz jak należy,
To ci *wszystko* się przypomni
Kędy Wisła bieży.



Rozwiązania wszystkich łamigłówek w kwartale 2-im nadesłali:

Biały Orlik, Jadzia B., Płomyk, Aleks. Szwarc, Jedynaczka, Zosia Nowicka, Telesfor ze Szpitalnej, Złośnica.

Jako nagrodę przeznacza się opowiadanie historyczne W. Gomulickiego p. t. „Trzy królowe".

Książkę tę czytelnicy miejscowi mogą odebrać w redakcji (Ordynacka 8 m. 7), zamiejscowym będzie wysłana pocztą.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Zygmunta S. łamigłówka jest błędnie ułożoną, drukowaną więc być nie może.

Potomkowi Czarnieckich. O japońskim systemie trenowania ciała podręcznik ilustrowany kosztuje kop. 45 (Książki dla Wszystkich, Nr. 335, wydanie M. Arcta)

Takiż podręcznik dla dzieci również ilustrowany kop. 40 (Książki dla Wszystkich, Nr. 337, wydanie M. Arcta).

W łamigłówce jest błąd: na literę *k* wpisano słowo: Helwecja. Kop. 10 na ochronkę odebrano. Podręcznik o tub-rollingu jeszcze się nie ukazał. Sport ten nie wymaga żadnych opisów, bo rysunki dostatecznie wskazują zasadnicze ćwiczenia, które każdy może urozmaicać i dopełniać.

Czarny Orlik łamigłówkę swą ułożył błędnie, drukowaną więc być nie może.

Zetowi. Zadanie konikowe umieszczę.

Białego Orlika obie łamigłówki są błędnie ułożone, przyjąć ich więc nie mogę.
Bawolego Serca łamigłówki umieszczę.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej oraz szarady z N-ru 26-go nadesłali: Marja Starzyńska, Romuald Tyska, Płomyk z Bierwieńciszek.

Rozwiązanie łamigłówki zoologicznej i sylabowej z N-ru 27-go nadesłali: Telesfor z ul. Wilczej, Biały Orlik.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i zadania z Nr. 28-go nadesłali: Złośnica, Biały Orlik, Klemens i Milunia z ul. Świętojerskiej, Płomyk z Bierwieńciszek.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 29-go nadesłali: Biały Orlik, Zofja Jerecpochjan, Ursus.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 25.

1. El
2. Urszula
3. Słonim
4. Tulon
5. Achilles
6. Cambridge
7. Hebes
8. Yak
9. Dereń
10. Adelajda
11. Sarabanda
12. Zagrzeb
13. Kato
14. Ibis
15. Ewerest
16. Wiatrówka
17. Illinois
18. Celtowie
19. Zeus

Eustachy Daszkiewicz.

Rozwiązanie łamigłówki zoologicznej z Nr. 27.

1. Antylopa
2. Latarnik
3. Emu
4. Kondor
5. Skorpjon
6. Aligator
7. Nielot
8. Dodo
9. Edredon
10. Rosomak
11. Hyena
12. Ukwiał
13. Miecznik
14. Bekas
15. Orzeł
16. Legwan
17. Daniel
18. Tarpan

Aleksander Humboldt.

Rozwiązanie zagadki arytmetycznej z Nr. 27.

Na łące pasło się 36 owiec
Drugie tyle 36
Jeszcze pół 18
Jeszcze ćwierć 9
Jeszcze jedna 1

Wtedy dopiero byłoby 100 owiec.

Do numeru dzisiejszego (31) dołącza się spis rzeczy za ubiegłe półrocze.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.